

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. Janusza Przewłockiego i cyklicznego wydawnictwa „Tak było... Sybiracy”, realizowanego przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Tym razem publikujemy relacje zesłańców z okresu ostatniej wojny i po jej zakończeniu. (red.)

\*

### **Wiesław Krawczyński – *Zostałem lagrowym muzykaniem***

Aresztowany w czerwcu 1945 roku we Lwowie za działalność w Armii Krajowej (wpadka jednego z żołnierzy z „komórki likwidacyjnej”), po roku trwającym śledztwie w więzieniach w Brygidkach i przy ul. Zamarstynowskiej, w czerwcu 1946 roku zostaje przewieziony tzw. „etapem” do obozu przesylnego w Peczorze. Przejazd pociągiem trwał prawie trzy tygodnie.

W obozie wzywano więźniów do wypełnienia listy ewidencyjnej obejmującej między innymi informacje o zawodzie. Podałem „muzyk”. Następnie zostałem przewieziony do miejscowości Siwaja Maska, gdzie przez krótki czas przebywałem w dwu obozach. Stamtąd przewiezony zostałem do miejscowości Abież nad Usą, przy Peczorskiej Magistrali Kolejowej na trasie Kotłas – Worskuta w Komi ASRR. Okazało się, że obóz do którego trafiłem był tzw. „Sztabnąją kołoną” (obóz sztabowy), w którym znajdowały się różnego rodzaju warsztaty (szewski, krawiecki, jakaś „pracownia” fizykochemiczna i inne). Przebywali też w nim pracownicy obozowego teatru. Abież – to była jak na warunki za

kołem podbiegunowym – duża miejscowość, w której mieszkało chyba około 5 tysięcy ludzi. W zapiskach pamiętnikarskich mego ojca znalazłem adres obozu: Komi ASRR, posesja Abież Ł.K. (łagiernaja kołona) 274/17 „B”. Pobyt i przybycie do „specjalnego” baraku opisałem nieco wcześniej. Tutaj dodam jedynie, że tuż po przybyciu do nowej kwatery dostałem polecenie przedstawienia się dyrygentowi orkiestry teatralnej. Był to dzień, który zaważył na moich późniejszych losach w łagrach i na zesłaniu. Zostałem bowiem włączony do składu abieżkiego zespołu teatralnego jako muzyk, konkretnie skrzypek.

Barak, do którego wszedłem na spotkanie z dyrygentem, nie zionął smrodliwym powietrzem jak inne, nie było też w nim nieładu i odrażających warunków fizycznych. Nie było wprawdzie tej normalności do której przywykłem we Lwowie, ale nie tchnęło to smrodliwym łagrem. Nie czuło się w nim smrodu potu, nieprzyjemnego zapachu schnącej odzieży czy obuwia. Ba, poczułem nawet coś w rodzaju zapachu mydła. W baraku słychać było przytłumione głosy jego mieszkańców. Patrzono na mnie jak na zjawę, z uwagi na moje okulary przewiązane szmatą i zawiązane z tyłu głowy tasiemką. Westchnąłem do Matki Boskiej Częstochowskiej, by dała mi siłę na ważne spotkanie i pokierowała moje losy chroniąc od zguby.

Na końcu baraku z piętrowymi narami, osłonięty kocami znajdował się „przedział”, w którym miał swoje miejsce dyrygent. Okazał się nim średniego wzrostu mężczyzna z ogoloną głową, w wieku około sześćdziesięciu lat, z bystrym spojrzeniem i ujmującą twarzą. Przedstawiłem się informując, że gram na skrzypcach i przychodzę na jego polecenie. Był to Nikołaj Nikołajewicz Czerniatyński, dawny główny dyrygent opery w Odessie, który nie przestał pracować w teatrze w okresie niemieckiej okupacji. To wystarczyło, by otrzymał wyrok dziesięciu lat przebywania w sowieckich łagrach. Jednym z pierwszych jego pytań było, dlaczego mam „okulary” czyli szkła obszyte materiałem? Opowiedziałem o kradzieży moich okularów w obozie w Siwej Masce. Jednocześnie powiedziałem, że jestem Polakiem, uczyłem się grać u prof. Kałużniackiego w gimnazjum w Chyrowie, gdzie też grałem jako początkujący skrzypek w tamtejszej szkolnej orkiestrze symfonicznej. Oczywiście znając antyreligijną atmosferę w Sowietkim Sojuszu nie wspominałem, że w Chyrowie był konwikt OO Jezuitów.

Następnie powiedziałem, że grałem w orkiestrze gimnazjalnej w Łańcucie (nie wspominałem, że była to orkiestra instrumentów szarpanych, w której grałem na banjo). Wreszcie poinformowałem, że grałem też w orkiestrze gimnazjalnej w XI Gimnazjum we Lwowie. Starłem się przedstawić możliwie „bogaty” mój orkiestrowy dorobek jako skrzypka. Ogólnie też na pytanie N. N. Czerniatyńskiego opowiedziałem o swojej rodzinie, że ojciec był dyrektorem lasów, że wykładał na uniwersytecie w Poznaniu i na Politechnice we Lwowie. Czulem, że dyrygent chce wiedzieć z jakiego pochodzę środowiska, jaką miałem rodzinę. Dowiedział się też, że byłem jedynakiem. Po zakończeniu rozmowy dostałem polecenie, aby na następny dzień rano wyjść razem z pracownikami teatru do budynku, w którym działał zespół. Na zakończenie rozmowy N. N. Czerniatyński zapytał o siłę soczewek moich szkieł i powiedział, że postara się załatwić odpowiednie okulary.

Na drugi dzień zgłosiłem się do grupy osób, które były wyprowadzane poza obręb obozu, czyli zony. Ku mojemu zdziwieniu była to grupa licząca około czterdziestu osób, kobiet i mężczyzn. Nie miałem pojęcia, że aż tyle ludzi pracuje w teatrze, a jak się później okazało była to tylko część zespołu, który liczył około sto dwadzieścia osób. Tylko orkiestra składała się z 30 muzyków, chór liczył około 25 osób, był też balet, sekcja dramatyczna licząca 20 osób i zespół jazzowy – estradowy złożony z około 20 osób. Do tego dochodzili pracownicy techniczni wykonujący dekoracje, krawcy, szewcy, obsługa garderoby i inni. O tym wszystkim na początku nie miałem pojęcia.

Wyprowadzona z obozu grupa artystów szła w asyście uzbrojonych konwojentów i była dokładnie liczona, tak przy wyjściu z zony, jak i po powrocie z pracy. Budynek teatru, oczywiście z drewna, jak na strefę poza kołem podbiegunowym, gdzie oszczędzano drewno sprowadzane z głębi Rosji, był wysoki, co najmniej jednopiętrowy, ze stosunkowo małą ilością okien. Duża sala widowiskowa na około 500 widzów z foyer, dokąd w czasie koncertów i spektakli nie wolno było wchodzić więźniom. Oprócz dużej sceny z pewną mechanizacją i oświetleniami, znajdowały się pomieszczenia dla artystów solistów, muzyków, baletu, chóru i biblioteka muzyczna.

Gdy znalazłem się wraz z innymi w tym przybytku Melpomeny wkrótce nastąpił dla mnie ważny sprawdzian umiejętności gry na skrzypcach. Wspomniany już dyrygent N.N. Czerniatyński dał mi skrzypce, które podstroilem, oraz spojrzałem na nuty. Początkowo miałem do zagrania trudne partie, później nieco łatwiejsze. Skoncentrowałem się przed tym sprawdzianem i czując obolałe i opuchnięte palce po fizycznej pracy zagrałem najlepiej jak potrafiłem. Przecież to decydowało o moim dalszym losie! Skrzypce wymagają ogromnej sprawności palców, a moje były pokaleczone i opuchnięte. Jest to instrument na którym grając, każde drgnienie palca decyduje o odpowiednim dźwięku. Po zakończeniu gry nastąpiło długie milczenie. Dyrygent stwierdził, że jestem słabym muzykiem. Coś tam umiem, jednak nie wiadomo czy podołam grać w orkiestrze. N.N. Czerniatyński nieoczekiwanie powiedział, że jego babka była Polką. Wreszcie po chwili milczenia rzekł, że zostawi mnie na okres trzech miesięcy na próbę i jeżeli będę ćwiczył 24 godziny na dobę, to może osiągnę odpowiedni poziom umiejętności. Zrozumiałem, że był to z jego strony gest dobroci mający uchronić młodego łagiernika przed wyniszczającą pracą fizyczną, a może i śmiercią. Aż nadto dobrze znał bowiem realia panujące w tych miejscach odosobnienia. Zostałem więc na razie na trzy miesiące członkiem grupy teatralnej.

Codziennie wychodziłem z zony do teatru, ćwicząc całymi dniami. Wyprowadzano nas dwa razy dziennie ze względu na przerwę obiadową i przejście do stołówki. Okazało się, że artyści mieli specjalny „kocioł” wyżywieniowy, o wiele lepszy jak pozostali łagiernicy. Należy nadmienić, że w czasie pobytu w teatrze, budynek był specjalnie strzeżony przez strażników NKWD. Po pewnym czasie część zespołu teatralnego wraz z orkiestrą wyjechała z występami na koncerty do porzucanych na terenie Komi ASSR obozów. Ja pozostałem na miejscu i dwa razy dziennie uparcie ćwiczyłem w pomieszczeniach teatru by być uznanym za potrzebnego muzyka. Ileż trudu wnosilem w te ćwiczenia, byłem jednak uparty, zwłaszcza, że sam widziałem postępy w grze. Staranność ta była wynikiem kupieckiej kalkulacji strat i zysków oraz poddaniu się łagrowemu determinizmowi, że muszę pozostać w zespole, bo to dawało szansę przeżycia.

Wreszcie zespół wrócił z koncertowego tournée i nieoczekiwanie dyrygent wręczył mi prawdziwe okulary, które załatwiły władze obozowe opiekujące się teatrem. Miało to dla mnie wielkie znaczenie, za co dziękowałem Panu Bogu. Nastąpiła pierwsza dla mnie próba gry z orkiestrą. Na początku zostałem ustawiony przez dyrygenta w ostatnim rzędzie drugich skrzypiec. I nagle – znajome dźwięki, akordy... Boże – to aria Jontka z opery *Halka* Moniuszki. Śpiewał ją solista teatru, więzień, jak się później dowiedziałem, były solista opery z Leningradu. Nie wytrzymałem. Polały się łzy. Czulem obserwujące mnie oczy dyrygenta.

I tak stopniowo wchodziłem w orkiestrowy repertuar. Coraz lepiej i sprawniej radziłem sobie jako muzyk. Wreszcie nastąpił pierwszy koncert orkiestry, w którym wziąłem udział. I tu nowe nieoczekiwane zdarzenie. Skierowano mnie do garderoby, gdzie musiałem zrzucić obozowe ubranie, otrzymałem granatowy garnitur, czarne półbuty dobrane na rozmiar mojej nogi, oraz przód białej koszuli, bez pleców, zawiązywany z tyłu na ramionach na tasiemki. Do tego dwa białe mankiety trzymane na gumce na plecach i karku, oraz czarny motylek („baboczka”). Przyglądałem się sobie w lustrze z niedowierzaniem. Wyglądałem jak prawdziwy WOLNY człowiek. Jednak prawdziwym zdarzeniem był pierwszy kontakt z garderobianą, która w trakcie wręczania mi teatralnego ubioru okazała się Polką. Nazywała się Zofia Klimaszewska, pochodziła z Grodzieńszczyzny. Ona też powiedziała, że w łaźni pracuje Polak również z Wileńszczyzny, Józef Godzisz, który był kiedyś nauczycielem.

Dowiedziałem się też, że w zespole estradowym jest Polak, z którym później się zaprzyjaźniłem, doskonały akordeonista, aranżer wielu estradowych piosenek, żołnierz Armii Krajowej (to wszystko wyszło później na jaw po długim czasie) Jerzy Rakowski. A więc nie byłem jedynym Polakiem w łaźniowym teatrze w Abieź. Przykro mi było, że początkowo w pierwszych chwilach pobytu w zespole artystycznym Rakowski nie przyznawał się, że jest Polakiem. Może wstyd mu było rozmawiać z człowiekiem w tak dziwnych „okularach”, w jakich przybyłem do teatru, a może decydowały o tym względy bezpieczeństwa nakazujące mu jako doświadczonemu już łaźniownikowi nie prowokowania losu nadmiernym zwieraniem się osobie, której bliżej nie znał. Po pewnym czasie rozumieliśmy się świetnie i teraz gdy wygrzebuje z pamięci jakieś wyraziste dowody tego, niesporo mi to idzie, dość powiedzieć ufaliśmy sobie podobnie jak i innym Polkom i Polakom z którymi połączył nas zesłańczy teatr i łaźniowy los.

Z biegiem czasu okazało się, że zespół teatralny w zasadzie jest „międzynarodowy”. Wśród więźniów byli Rosjanie (największa grupa), Ukraińcy, Żydzi, Litwini, Estończycy, Łotysze, Białorusini, Mołdawianin, Tatar, Węgier, Czech, jeden Francuz i Polacy (początkowo było nas troje). Duże skupiska łaźniowej „szarży” zarządzające setkami łaźni, w których pracowali często nawet z rodzinami sprowadzonymi z Rosji, pragnęły namiastki kultury. Trzeba przyznać, że Rosjanie są narodem muzykalnym, a w sowieckim ustroju nawet w łaźniach starano się o tworzenie zespołów artystycznych, wykorzystując więźniów wśród których byli profesjonalni muzycy, aktorzy teatralni, soliści operowi, komicy i inni. Dla nich też starano się w miarę łaźniowych możliwości o lepsze warunki żywienia, zakwaterowania i pracy. Profesjonalni artyści gwarantowali wysoki poziom danego zespołu, starano się więc o pozyskiwanie ich z oddalonych nieraz obozów prowadząc rozeznanie, kto kim jest z zawodu. Te-

atrem w Abieź „opiekował” się naczelnik budowy stojki 501 –płk. Wasilij Ar-sieniewicz Barabanow, ważny dygnitarz w systemie Zarządu Obozami.

Tymczasem życie biegło szarym, codziennym trybem, dni były coraz krótsze, nadchodziła polarna zima, trwająca aż do maja. Była to pierwsza moja zima za kołem podbiegunowym. Modliłem się często o przeżycie w tych warunkach, o zdrowie dla moich rodziców, o których nie miałem pojęcia gdzie się znajdują, podobnie jak oni nic nie wiedzieli o mnie. Ci z pośród moich współwięźniów, którzy pochodzili z krajów znajdujących się w obrębie ZSRR mieli kontakty z rodzinami. Mogli pisać do swoich najbliższych. Niektórzy jak np. Rosjanie, Ukraińcy, Litwini, Estończycy i inni otrzymywali nawet co pewien czas paczki, co znacznie ułatwiało łagrową egzystencję. Panował bowiem zwyczaj, że osoby otrzymujące paczki dzieliły się żywnością ze współwięźniami z najbliższego kręgu.

Wraz z nadchodzącą zimą nam artystom wydano cieplejszą odzież, obu-wie, rękawice, a „lepsza” ilość wyżywienia jakoś trzymała na nogach. Niestety u mnie zaczęły chwiać się zęby, pojawiły się jakieś plamy na skórze. Poradzono bym udał się do tzw. „sanczasti” (punktu lekarskiego) – po radę do lekarza. I tu znowu niespodzianka. Przyjęła mnie miło i serdecznie dziewczyna, która gdy dowiedziała się, że jestem Polakiem, zaczęła mówić po polsku. Była Białorusinką wykształconą w Polsce, nazywała się Wiera Żuk. Stwierdziła, że mam „cyn-gę” (szkorbut) i wręczyła mi proszek, który miałem kilka razy w ciągu dnia popijać „kijatokiem” – gotowaną wodą. Po pewnym czasie lekarstwo poskutkowało i wszystko wróciło do normy, zęby przestały być ruchome a skórne wykwity też znikły. Podobno był to proszek mielony z owoców dzikiej róży.

Mróż był coraz silniejszy, często poniżej 40°C. Regularnie wyprowadzano nas dwa razy dziennie pod konwojem do teatru, który był ogrzewany. Baraki nie były zamykane na noc, dlatego też wychodząc nieraz „za potrzebą” spoglądałem na iskrzący się nieboskłon patrząc na gwiazdę polarną, która była nade mną. Myślałem o najbliższych, gdzie są, co z nimi... Taki ból i żal. Ile przecierpieli z mojego powodu. Czy wyjechali do Polski, o co usilnie ich prosiłem w moich grypsach z więzienia. Pewnego wieczoru ze zdumieniem zauważyłem na niebie jakieś przesuujące się selektywnie światła. Przypominały mi się z okresu wojny światła przeciwlotniczych reflektorów wyławiające lecące samoloty. W absolutnej ciszy jaka panowała w obozie było to niesamowite zjawisko. Później dowiedziałem się, że jest to zorza polarna.

Przez kilka lat pobytu za kołem podbiegunowym z zachwytem przyglądałem się temu zjawisku, które najczęściej występowało w kolorze seledynowym, rzadziej żółto-pomarańczowym i bardzo rzadko purpurowym. To było niesamowite, jak gdyby ktoś rozlał krew po niebie. Obserwując to zjawisko modliłem się o powrót do domu, o zdrowie dla rodziców. W takich chwilach dopiero człowiek odczuwa, jakim jest pyłkiem, marną ziemską istotą, bez żadnej możliwości wpłynięcia na swój los. Więzień życia, doznanej represji. A przecież to wszystko dla Polski. Samotny pyłek istnienia na lodowatej ziemi. Gdzieś tam na południu są ciepłe rodzinne mieszkania, oświetlone wioski, miasta, ludzie modlą się w kościołach, jest szczęście, moi rodzice... tysiące kilometrów niezmierzonej dali...

I tak nadeszła pierwsza łagrowa wigilia. Umówiliśmy się na wspólne spotkanie w „bani”, łaźni, gdzie pracował Józek Godzisz. Trzecim był Jerzy Rakowski. Przeżegnaliśmy się, łamiąc kawałkiem wysuszonego chleba zamiast opłatka, życząc szybkiego powrotu do domu i najbliższych. Pomieszczenie w którym pracował Godzisz było kotłownią, w której gotowała się woda do mycia dla więźniów. Musiał on dbać o palenie pod kotłem, przynosząc w wiadrach węgiel. Po ścianach łążyły ogromne karaluchy i jakieś inne brzydactwa. A jednak był to ważny moment naszej izolacji od mieszkańców łagru, w ten ważny wigilijny dzień. To nas umocniło w przyjaźni i staraliśmy się być sobie potrzebni gdy zajdzie taka konieczność. Ta pierwsza łagrowa wigilia miała coś w sobie z przywoływania w pamięci poprzednich świąt Bożego Narodzenia, jeszcze tych z lat chłopięcych, a potem tych z okresu wojny. Zawsze wówczas czekaliśmy na zakończenia działań wojennych i z nadzieją układaliśmy swój przyszły los, który jawił się także w wigilijnych życzeniach. A tymczasem spotkało mnie nowe cierpiące życie obolałe psychicznie i fizycznie poddane dyktaturze łagrowego reżimu, w którym nawet swobodnie nie można było się pomodlić.

Minęło więc w skupieniu indywidualnym nasze polskie Boże Narodzenie. Na Nowy Rok daliśmy uroczysty koncert dla „wolnych”. Specyficzny odgłos zapelniającej się sali. My w jamie orkiestrowej poniżej widowni, przed sceną, odczuwaliśmy pewnego rodzaju napięcie noworoczne. Co nam przyniesie nowa data? Z sali dochodziły zapachy perfum, przytłumione rozmowy i śmiechy. Był to dla mnie jakiś dziwny styk „zakluczonego” – więźnia z tzw. wolnością. Na program koncertu złożyły się popularne utwory rozrywkowe, fragmenty baletu z „Łabędziego Jeziora” Czajkowskiego, kilka operetkowych arii J. Straussa, F. Lehara, I. Dunajewskiego, jakieś humorystyczne skecze itp. Po koncercie oddaliśmy do garderoby odświętne stroje i w łagrowych łachmanach wracaliśmy do obozu z dziwnymi i bolesnymi odczuciami. My więźni w łagrach, ludzie pozbawieni praw publicznych musieliśmy występować przed naszymi prześladowcami, bo oni potrzebowali rozrywki. Ot dziwny świat i los!

Zima była sroga. Koło podbiegunowe znajduje się na 66°33' szerokości geograficznej nord. Pierwszy raz w życiu przeżywałem tak niską temperaturę. Wyjście nocą na zewnątrz groziło zamrożeniem. Na szczęście w baraku było małe pomieszczenie, gdzie znajdowało się duże „naczynie” do załatwiania nocą potrzeb fizjologicznych. W baraku artystów z uwagi na ich zdrowie, szczególnie śpiewaków, nawet w dzień można było korzystać z tego pomieszczenia. Rano wychodząc z baraku, a była to noc polarna i dopiero koło południa robiło się względnie jasno, wychodziło się jak gdyby w tunel. Po obu stronach ścieżki zalegały wysokie zwały śniegu. W zwykłych łagrach, w których baraki były wkopane w ziemię, więźniowie musieli się odkopywać, aby wyjść na zewnątrz co nie było rzeczą łatwą z powodu braku należytego sprzętu.

Najgorsze jednak były dni, kiedy powstawała zamieć niosąca śnieg z taką siłą, że nic nie było widać na metr przed sobą. Była to tak zwana „purga”. Srogi północny klimat odbierał życie wielu zesłańcom nie przystosowanym do niego, źle karmionym i źle odzianym. Jaka to Łaska Boża, że dostałem się do grupy teatralnej. Klimat polarny to 47 dób z ciągłą nocą, sto dni z temperaturą poniżej 30°C, 130 dni z zamieciami („purgą”), 90 dni z szybkością wiatru ponad 15 m na sekundę, wreszcie 250 dni z leżącym śniegiem. W obozach położonych jeszcze bardziej na północ, zakładano pomiędzy barakami, i do latryn –

liny, aby w czasie polarnej nocy więzień nie zgubił się. Pomimo tego znam wypadek, kiedy taki „dochodiaga” nie mający sił, na skutek zawiei zgubił się. Na drugi dzień znajdowano tylko „sopel lodu” długości danej ofiary.

Tymczasem zespół teatralny zaczął się powiększać. Pojawił się mój znajomy z łagru w Siwej Masce ksiądz, który ściągnął mnie do łagru, gdzie w zespole śpiewał Polak Jurek Sidorowicz. On też znalazł się w teatrze i dostał przydział do zespołu estradowego. Miał piękny miękki głos, wykonywał romantyczne piosenki. Był bardzo kochliwy. Do chóru przyjechały z łagrów dwie Polki, Klara Karpowicz i Dorota Jabłońska. W garderobie oprócz Zosi Klimaszewskiej pojawiła się nasza rodaczka Wanda Kossakowska. Z biegiem czasu zjawiał się nowy pianista Julian Baczyński oraz Litwinka Stefa Bruzdeilaite. Dziwnym zrządzeniem losu poszerzał się krąg rodaków. W pewnym sensie to podbudowywało. Częściej można było rozmawiać w swoim rodzinnym języku. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że w laboratorium obozowym pracuje Polak z Warszawy inżynier Stanisław Walento. Wszyscy marzyliśmy o zmianie naszego losu, pomimo wyroków o tradycyjnych terminach 10 lat pobytu w łagrach. Jurek Sidorowicz aresztowany na Wileńszczyźnie jako młodociany żołnierz Armii Krajowej, miał wyrok 7 lat.

Zima stopniowo mijała, rozpoczęły się normalne jasne dni. Zmieniono nam barak „artystów” na lepszy, z dobudówką dla dyrygenta i reżyserów. Dniewalnym baraku został wspomniany już Józek Godzisz. Oprócz tego prawdopodobnie dla ochrony przed pospolitymi więźniami będącymi w łagrze, był potężny Rosjanin z ogromnymi na całym ciele tatuażami. Do naszego baraku poza obsługą, nie wolno było wchodzić. Pewnego razu wezwał mnie N.N. Czerniatyński i polecił opracować dwa utwory muzyczne na wykonanie solo. Zdumiałem się nie wiedząc co mnie czeka. Wybrałem z biblioteki arię Indyjskiego Gościa z opery „Sadko” N. Rymskiego-Korsakowa i kujawiaka H. Wieniawskiego. Utwory te miałem ćwiczyć z akordeonistą, jako akompaniatorem. Wreszcie wyjaśniła się cała sprawa. Montowano kilkunastoosobowy zespół na wyjazd dwutygodniowy do łagrów na północ. W zespole tym była para baletowa, dwu wokalistów, dwu recytatorów (artyści dramatyczni), akordeonista, osoba od doglądania ubiorów i inni, oraz ja jako solista skrzypek. Jechaliśmy za Workutę do łagrów, by dawać w nich skromne koncerty. Odbywaliśmy tę podróż w dwu towarowych wagonach przerobionych na mieszkalne. W każdym wagonie był strażnik z karabinem. Na którejś kolejnej stacji kazano nam wysiąść i szliśmy z naszymi instrumentami i niezbędnymi osobistymi rzeczami jakąś godzinę po dużym przetartym trakcie śnieżnym.

Wreszcie doszliśmy do miejscowości, gdzie były dwa domy i dużo namiotów jak gdyby indiańskich. W dali zobaczyłem las ruszających się gałęzi? Zdziwiłem się tym, myśląc, że mam jakieś kłopoty ze wzrokiem. Jak się później okazało, było to ogromne stado reniferów. Nas więźniów umieszczono w drewnianej, solidnej chacie. „Osiedle” zamieszkane było przez tamtejszy lud, może szczep, o skośnych oczach, czarnych włosach. Jak się później dowiedziałem, były to zamieszkujące te tereny autochtoniczne plemiona Nieńców i Komi-Zyrian, trudniących się hodowlą reniferów. Oczywiście było to państwowe gospodarstwo. Stada reniferów wnosily po kilka tysięcy sztuk, stale wędrowały z uwagi na poszukiwanie pokarmu. Latem renifery żywiły się mchami, trawą, roślinami żyjącymi w tundrze. To samo zimą z tym, że stada musiały wciąż wędrować, by renifery mogły spod śniegu wydobyć sobie strawę. Koczownicze

życie zmuszało do ciągłej wędrówki, stąd „pasterze” w zasadzie nie mieli swoich stałych domów. Dopiero w związku z „rozwojem cywilizacji”, najbogatsi wracając z wojska, przeważnie inwalidzi, zaczęli budować domy.

Północ Komi Republiki żyła z reniferów. Renifer dawał mięso, mleko (ważne dla niemowląt), skórę (w „wigwamach” spali na stertach skór, w które również się ubierali). Z rogów reniferów Komiacy wyrabiali igły, grzebienie, przybory do jedzenia, różne ozdoby. W domu, w którym spędziliśmy jedną noc (spaliśmy na podłodze) był typowy rosyjski piec. Na belce umieszczony był drąg, a na nim jak gdyby w worku ze skóry leżało chyba niemowlę, które co pewien czas poruszała jego piastunka, coś jakby kołyska. W domu tym był również staruszek, dziwnie ubrany. Skórzane spodnie, podobne buty, kaftan, siwe włosy zaplecione w kilka warkoczyków związanych czerwonymi kokardkami. Tak on jak i mieszkańcy tego domu nie umieli rozmawiać po rosyjsku, tylko w swoim narzeczu. Nam dano kipiatak, mieliśmy swoje kubki oraz tak zwany „suchy pajok” (suchy prowiant) i tak minęła noc. Na drugi dzień pokazano nam wnętrze jurty, na środku było palące się ognisko, dym uchodził przez górny otwór. Przy domu był tzw. bazar na którym były jakieś dziwne kremowe kule, które okazały się zamrożonym mlekiem. Podobno można było je kupić na wagę. My nie mieliśmy pieniędzy.

Swoją drogą widząc „higieniczne” warunki w jakich przebywali tam tubylcy, nie było ochoty na kupno czegokolwiek. Mieszkańcy dalekiej północy trudnili się również polowaniem na polarne lisy, rzadko niedźwiedzie, oraz łowieniem ryb. To wszystko opowiadał strażnik pilnujący nas. Jego stosunek do nas artystów był przychylny, może i dlatego, że wiadomym było, iż nikt z więźniów jemu podopiecznych nie mógł w warunkach Północy uciec. Wracając jeszcze do opisu Komiaków, warto wspomnieć o ich ubiorach zimowych. Oprócz skórzanych spodni, kaftanów, rodzaju skórzanych kamizelek, ubierali na wędrówkę drugie spodnie skórzane, na nie pod kolana coś w rodzaju butów ze skóry (my mieliśmy walonki, bardzo ciepły rodzaj obuwia), na to odziewali długą po kostki szubę (futro) z kapturem, na ręce rodzaj rękawiczek futrzanych sięgających prawie do łokci. Pojazdem ludzi północy w zimie i w lecie były stosunkowo lekkie sanki ciągnięte przez renifery. Latem brak jakichkolwiek dróg zmuszał do podróżowania sankami, które renifery ciągnęły po tundrze porośniętej mchami i trawą. Czasem sanki ciągnęły dwa, a nawet trzy, rzadko cztery renifery, mające szerokie piękne rogi. Aby nimi się nie zaczepiały, środkowym zwierzętom wypilowywano poroże. Dla nas Europejczyków był to zupełnie obcy, zadziwiający świat. Zamiast lejców woźnica miał długą tykę, którą dźgał umiejętnie ciągnące sanki renifery.

Tymczasem należało nam artystom udać się w dalszą drogę. Po śniadaniu (kipiatok i „suchy pajok”), ruszyliśmy znowu pieszo przetartym szlakiem po śniegu i w silnym mrozie prawie godzinę do jakiejś jurty, gdzie czekał na nas dziwny pojazd. Był to sowiecki czołg z rozmontowaną wieżą strzelniczą, zamiast której znajdowała się lora, na którą wdrapaliśmy się. Czołg po jakimś czasie dowiózł nas do łagru, w którym mieliśmy kilka dni przebywać i pieszo docierać do najbliższych obozów z koncertowym programem. Po określonym czasie naszych występów wróciliśmy do Abież. Przybył z nami nowy artysta muzyk, grający na wiolonczeli. Był to Węgier, starszy już pan, bardzo słabo mówiący po rosyjsku. Stosunkowo nie dawno przebywał w obozie. Zaczęłam rozmawiać z nim po niemiecku, na ile pamiętałem jeszcze ten język z nauki w

szkole. Pamiętałem o staropolskim powiedzeniu „Polak, Węgier dwa bratanki”, stąd też od razu poczułem do nowego towarzysza niedoli dużą sympatię. Nazywał się Laslo Sente. Szlachetna twarz świadczyła o dużej inteligencji. Jak się później okazało, Laslo był kiedyś wybitnym politykiem, znał cztery języki, pracował w ambasadzie węgierskiej w Waszyngtonie. Stąd też po powrocie do Węgier, uznany za „element niebezpieczny” został „izolowany” za Koło Podbiegunowe. Jako łagiernik o kulturalnym usposobieniu i wysokiej inteligencji, zjednał sobie przychylny stosunek wśród nas muzyków. Po dostaniu się do naszego zespołu bardzo dużo ćwiczył na wiolonczeli i widziałem, że grał na niej nie łatwe partie. N.N. Czerniatyński bardzo go cenił. Był jedynym wiolonczelistą w orkiestrze.

Pierwszym skrzypkiem i solistą orkiestry był wybitny muzyk z symfonicznej orkiestry w Moskwie Sergiej Nikołajewicz (nazwiska nie pamiętam). Wśród skrzypków była jasnowłosa blondynka Estonka Renate Picho, z lekko pyrkatym noskiem, mająca stosunkowo krótki wyrok. Siedziała przy pierwszym pulpicie z Sergiejem Nikołajewiczem. Przed zwolnieniem z łagru kupiłem od niej prywatne skrzypce, oddając przez trzy miesiące przydział melasy cukrowej i co drugi dzień przydział porcji chleba. Wśród skrzypków pamiętam nazwiska Rosjan: A. Szabanowa, J. Golikowa, Ostrecowa. Orkiestra miała wspaniałego pianistę z moskiewskiej filharmonii Siergieja Wołodymirowicza Tapilina. Podobno na wolności akompaniował najwybitniejszym rosyjskim solistom. Niestety miał zboczone skłonności do młodych ludzi, o czym po cichu mówiono w naszym środowisku.

Repertuar teatru, w tym i naszej orkiestry był bogaty. Wystawialiśmy operetki J. Straussa „Cygański baron”, F. Lehara „Wesoła wdówka”, „Błękitny mazur” (libretto o motywach polskich), operetki I. Dunajewskiego. Z muzyki poważnej wykonywaliśmy symfonie wybitnych klasyków (m.in. V.L. Bethowena, V. P. Czajkowskiego (fragmenty jego opery „Dama pikowa”), baletu „Jezioro łabędzie”) i wiele innych. Z rosyjskich kompozytorów wykonywaliśmy między innymi utwory M. Musorgskiego, N. Rymskiego-Korsakowa. Pokazowym utworem orkiestry była uwertura do opery M. Glinki „Rusłan i Ludmiła” grana w tempie „presto”. Po jej wykonaniu zawsze sypały się rzęsiste brawa. Solistów, chór i balet, do występów przygotowywali pianiści i później były już wspólne próby z orkiestrą. Próby generalne trwały do późna w nocy. Do naszego repertuaru wchodziła również ukraińska opera S. Hułaka-Artemowskiego. Rzecz dzieje się latem na wsi w okresie żniw. Charakterystycznym był odbiór publiczności wychowanej w duchu antyreligijnym, kpienie z wiary. W pewnym momencie jeden z aktorów wymawia kwestię: „Pust’ tebe Boh bereże” („Niech cię Bóg strzeże”). Sala ryczała ze śmiechu. To było dla mnie obrażające. W dalszej części spektaklu następuje scena powrotu żniwiarzy z pracy, którzy modlą się i klękają. Piękna melodia nastrojowa. W sali absolutna cisza. Może jednak publiczności wróciły wspomnienia dzieciennych lat, gdy ich dziadowie czy rodzice modlili się? Dla mnie była to zawsze wzruszająca scena przypominająca polską wiarę w Boga.

Na wysokim poziomie stał zespół artystów dramatycznych. Przewodził mu słynny rosyjski reżyser Leonid Leonidowicz Obolenski, wielki filmowy twórca. Kiedyś współpracował w czasie realizacji pierwszych sowieckich filmów z Einsteinem. W czasie wojny dostał się do niemieckiej niewoli i za to

otrzymał wyrok 10 lat pobytu w łagrach. Wspomagał go kierownik artystyczny teatru Aleksiej Grigoriewicz Morow, znany rosyjski teatrolog. Wspólnie tworzyli oni wspaniałe inscenizacje, atrakcyjne dekoracje m.in. dzięki zakupionej w Teatrze Wielkim w Moskwie aparaturze oświetleniowej. Stamtąd też pochodziła część teatralnych kostiumów. Z ciekawszych inscenizacji utkwił mi w pamięci spektakl S. B. Shawa „Pigmalion”. Wystawiano też sztuki teatralne Gogola, Ostrowskiego i współczesnych sowieckich dramaturgów (tych drugich rzadziej). Nam muzykom można było oglądać z jamy orkiestrowej poszczególne spektakle, podobnie jak wyświetlane dość często filmy, którym służyła teatralna scena z opuszczanym ekranem.

Ciekawym zespołem była grupa jazzowa, której przewodził podobno znany absolwent moskiewskiego konserwatorium Zinowiew Binkin. Początkowo repertuar wywodził się z amerykańskiego stylu i utworów. Stopniowo jednak pod naciskiem władz powstawały utwory kompozytorów sowieckich, w większej części Dunajewskiego i twórców sowieckich piosenek, w tym z okresu ostatniej wojny. Wybitną rolę w zespole odgrywał Jurek Rakowski, doskonały pianista, akordeonista i aranżer. Solistą zespołu został wspomniany już Jurek Sidorowicz.

Czas uciekał, ja coraz bardziej nabierałem pewności siebie i opanowałem dobrze grę na skrzypcach, co spowodowało, że dyrygent N. N. Czerniatyński posadził mnie jako koncertmistrza drugich skrzypiec przy pierwszym pulpicie. Nasze koleżanki twierdziły, że między innymi powodem była moja elegancka postawa i wygląd. Jakby nie było, opinia przyjemna, a zwłaszcza ocena dyrygenta. Sam pobyt w gronie kulturalnych ludzi wpływał pozytywnie na moją psychikę, nie było tej ordynarności, z którą spotykało się na każdym kroku wśród więźniów w łagrach. Język rosyjski jest bardzo bogaty w przekleństwa ubliżające nie tylko najbliższemu, w tym matce, ale nawet Bogu. Od tego byliśmy – artyści – daleko. Rozmowy o sztuce, bezpośrednie z nią obcowanie, dawało w pewnym sensie zapomnienie o smutnej łagrowej rzeczywistości, pozbawieniu wolności, braku wiadomości od najbliższych. Odległość tysięcy kilometrów, spędzanie czasu wśród obcych pod względem języka, mentalności, kultury, ludzi – to wszystko w czasie wolnych chwil, przemyśleń, mogło doprowadzić do ogromnej depresji. Dzięki Bogu jakoś się trzymałem.

Pewnego razu dyrygent N. N. Czerniatyński poprosił mnie o przepisanie nut dla jakiegoś instrumentu. Dostałem papier, tusz, odpowiednie pióro i nocą w wolnej chwili przepisywałem otrzymany utwór. Od tego czasu zacząłem przepisywać utwory aranżowane przez N.N. Czerniatyńskiego na całą orkiestrę. Dyrygent obiecał, że będę za to otrzymywał wynagrodzenie, które będzie wpływało na moje łagrowe konto. Nocami, często w zimie, z nogami owiniętymi kocem, przepisywałem nuty. Z czasem zaczęło brakować papieru nutowego. Dyrygent załatwił czysty papier i zlecił wykonanie specjalnego urządzenia do rysowania pięciolini. Urządzenie to mam do dnia dzisiejszego, chyba jako jedyny egzemplarz w kraju.

Nadchodziła kolejna sybirski zima. Robiło się szaro, dzień coraz krótszy, znowu pojawiła się „cynga” skorbut i ponownie Wiera z „sanczasti” leczyła mnie proszkiem z dzikiej róży. W czasie trwania nocy polarnej, ludzie stają się bardziej nerwowi, ponurzy, źli. Wpływa to destrukcyjnie na całe zachowanie, psychikę. Zaczęliśmy myśleć o kolejnym Bożym Narodzeniu w łagrze, o kolej-

nym nadchodzącym roku z jego ogromną niewiadomą. Dwudziestego drugiego grudnia otrzymałem wiadomość, że będę wezwany na pocztę po odbiór paczki. To było tak nieoczekiwane, że radziłem się kolegów czy mogę po nią udać się na pocztę. Wiedziałem, że nie mam nikogo z mojej rodziny na terenie Związku Radzieckiego i poza tym nikt ze znajomych nie wie o miejscu mojego pobytu. Nie chciałem odbierać rzekomej paczki, która mi się nie należała, aby nie skrzywdzić jakiegoś jej odbiorcy. Przeważała jednak presja rodaków, aby pójść po odbiór paczki. Na drugi dzień zostałem wezwany na wartownię przy bramie łagru, gdzie sprawdzono moje dane i w asyście strażnika z karabinem oraz psem, odprowadzono mnie na pocztę. Byłem w ogromnej rozterce, czy paczka jest rzeczywiście dla mnie. Urzędnik NKWD na poczcie odnalazł pudełko z dykty owinięte materiałem (taki był wymóg pakowania paczek) i zapytał „kaka familia” podałem nazwisko z imieniem swoim i ojca. – „Nu poprawno Wiaczesław Wiaczesławowicz” (często przekręcano moje imię Wiesław). „Ot kawo ożydajesz peredaczu” (od kogo oczekujesz przesyłki – skąd). Strzeliłem bez namysłu – „ze Lwowa” – „poprawno – a familia? Tu nie wiedziałem jakie podać nazwisko nadawcy. Urzędnik jednak się spieszył i zapytał „Panek?” Nie znałem takiego nazwiska, ale odpowiedziałem „tak”. Paczka została otwarta, były w niej suchary, kalesony z tasiekami na końcu, jakie nosili kiedyś starsi mężczyźni, biała koszula, trochę cukru w woreczku i duża puszka blaszana, w której po otwarciu ukazał się smalec. Urzędnik wziął nóż, przebił smalec zapewne dla kontroli, czy nie ma w nim czegoś zakazanego i zwrócił zawartość ze słowem „bieri” – bierz. Okropnie zdenerwowany wróciłem do baraku ze swoją paczką. A tu kolejna niespodzianka. Na pościeli leżał list nadany jak sprawdziłem ze Lwowa. W liście zatytułowanym „Kochany nasz braciszku...” pisały dwie kobiety, że pragną mi pomóc i wysyłają paczkę. Podpisy Zosia i Krysia. Na kopercie nazwisko nadawcy – Panek. Nie mogłem się opanować od łez. Ogromne wzruszenie, że jest ktoś, kto o mnie pamięta. Ale jednocześnie niepokój. Byłem jedynakiem. Skąd „siostry”? Skąd znaleziono mnie za kołem podbiegunowym akuratnie w tym łagrze? Tyle niewiadomych. Przecież już półtora roku minęło od wywiezienia mnie ze Lwowa.

Na drugi dzień był wieczór wigilijny. Podobnie jak przed rokiem zebraliśmy się w łaźni, opowiedziałem rodakom, a było nas już pięciu, o zdarzeniu z paczką i listem. W paczce był maleńki skrawek opłatka, którym podzieliliśmy się, przyniosłem też kilka sucharów i cukier, oraz puszkę ze smalcem. Józek Godzisz postarał się o jakieś rybki i rozpoczęliśmy wigilię, z bożym błogosławieństwem. Przystąpiliśmy do smarowania czarnego chleba obozowego smalcem z puszek. I nagle pod smalcem coś zaszeleściło. Z ogromnym napięciem znaleźliśmy owiniętą w papier pergaminowy książeczkę „Cztery Ewangelie Pana Naszego Jezusa Chrystusa”, wydane w Mikołowie w 1937 roku nakładem księży Salwatorianów. Na okładce wewnętrznej dedykacja „Wiesławowi, Najdroższemu Braciszкови, tę malutką, lecz najcenniejszą książeczkę, z życzeniami, by była Jego „Vademecum”, zarówno dziś w ciężkich chwilach w Abieź, jak i w pogodnych w przyszłości ofiarują przybrane siostry Zosia i Krysia. Lwów, 24.XI.1947 r.” Tak okładka jak i kilka dalszych stron zaszyły tłuszczem od noża, którym przebił smalec urzędnik na poczcie. To było ogromne przeżycie, wzruszenie, wstrząsnęło mną do głębi. Pomimo licznych rewizji, przeglądów rzeczy, książeczka ta przetrwała ze mną przez cały czas pobytu w łagrach, później na dożywotnim zesłaniu i mam ją do dziś. Bóg miał mnie w swojej

opiece, a wszystko to zawdzięczam modlitwom mojej Świętej Matki, która całymi latami leżąc krzyżem, modliła się o moje życie i powrót w Jej ramiona. Nastąpiło to dopiero w styczniu 1956 roku.

Przez kilka dni nie mogłem się uspokoić. Wciąż wracałem myślą do ostatniego zdarzenia. Nie znałem zupełnie obu pań. Nie miałem pojęcia, jak ktoś obcy po tak długim okresie czasu znalazł mnie za kołem podbiegunowym. Na drugi dzień po otrzymaniu paczki odpisałem bardzo serdeczny list z podziękowaniem za przesyłkę. Prosiłem jednocześnie, by odnaleziono moją rodzinę, która powinna była znaleźć się w Łodzi, gdzie mieszkał brat mojej mamy, przed wojną sędzia Sądu Najwyższego Tadeusz Kowalski, mój chrzestny ojciec. Tak rozpoczęła się moja korespondencja z przybranymi siostrami. Pierwszy kontakt z wolnym światem. Po dwu miesiącach otrzymałem wiadomość, że moi rodzice mieszkają nie w Łodzi, a w Krakowie. Jak odnaleziono ich? Ważne, że żyją i zostali powiadomieni o moim losie. Kiedy po powrocie do kraju spotkałem się z Zosią Panek dowiedziałem się, że wśród Lwowiaków Armia Krajowa zorganizowała akcję pomocy tym, którzy nie mając rodziny na terenie ZSRR, znajdują się w łagrach. Wywiad AK dotarł do dokumentów NKWD i w ten sposób moje „siostry” dostały adres do nieznanego łagiernika. Również dowiedziałem się, że miejsce pobytu w Polsce uzyskano dzięki pomocy AK, które oceniło moją postawę w śledztwie. Natychmiast napisałem krótki list do rodziców, by przez Lwów otrzymali o mnie wiadomość. Jak wielką była moja radość, kiedy 23 lipca otrzymałem via Lwów pierwszy list pisany rękoma rodziców. Tak zaczęła się pomiędzy nami odległa korespondencja.

W sierpniu nasza grupa artystów wyjechała na kolejne występy. Między innymi płynęliśmy statkiem oczywiście pod konwojem rzeką Usą docierając do słynnej Workuty, gdzie dziesiątki tysięcy więźniów pracowało w tamtejszych kopalniach węgla. We wrześniu nasz zespół otrzymał nową amerykańską odzież, spodnie, kurtki, buty. Widocznie w ramach pomocy USA dla ZSRR. Nowością była podróż wagonami (pod strażą) prawie 1000 km na południe aż do Kotłasu. Po koncertach, często w barakach łagrowych, podchodziły osoby pytając, czy jestem Polakiem. Tak działał grany przeze mnie kujawiak H. Wieniawskiego. To były serdeczne spotkania, często łzawe. W listopadzie otrzymałem pierwszy list od mojej dziewczyny Krystyny Mładejowskiej, którą wprowadziłem kiedyś w szeregi Armii Krajowej. Mniej więcej raz w miesiącu zacząłem otrzymywać korespondencję z kraju lub ze Lwowa. Był to wielki bodziec psychiczny podbudowujący moje zatroskane łagrowe życie.

Nadchodziła kolejna sroga zima, a wraz z nią dzień kolejnej wigilii Bożego Narodzenia. W ciągu roku nasze polskie grono zaprzyjaźniło się, zaczęliśmy się orientować, że Polacy uzyskują pozytywną opinię tak co do swojej solidności w wykonywaniu obowiązków, jak też wzajemnej więzi, która wytworzyła się wśród nas. To ośmieliło do wspólnego spotkania na wigilii już w baraku. Oczywiście byliśmy tylko w gronie męskim, gdyż nie było wolno wchodzić do męskiej zony kobietom i odwrotnie, chyba tylko w wyjątkowych wypadkach za pozwoleniem komendanta obozu lub kogoś z wartowni.

Rok 1948 rozpoczął się dla mnie niespodziewanym zapytaniem lejtnanta, opiekuna artystów i prawdopodobnie szefa straży NKWD pilnującej nas, czy znam się na grze na gitarze. W domu miałem gitarę, w orkiestrze gimnazjalnej w Łańcucie jej dyrygent, jednocześnie naczelnik poczty p. Kolijewicz uczył gry

na gitarze. Miałem o tym pewne pojęcie. Lejtnant zapowiedział, że będę uczył jego kolegów gry na gitarze. Wobec tego napisałem do „siostrzyczek” we Lwowie, by przysłały mi książkę o podstawowej nauce opanowania gry na tym instrumencie. Po miesiącu otrzymałem upragniony podręcznik, w który zacząłem się zagłębiać. Pewnego wieczoru lejtnant przyszedł po mnie i wyprowadził za obóz do jakiegoś pomieszczenia, w którym było siedmiu żołnierzy w mundurach, wszyscy z gitarami. Miałem uczyć ich gry na tym instrumencie. Rozpocząłem od nut, oraz pierwszych zasad trzymania instrumentu. Nie znałem jeszcze za dobrze języka rosyjskiego, stąd wykład mój był kaleczony. Jednocześnie pamiętałem z rozmów w orkiestrze, że Rosjanie nie używają nazw nut jak u nas C, D, E, F, G, A H, C, tylko Do, RE, Mi, Fa itd.

Po pierwszej lekcji lejtnant odprowadzając mnie do obozu wstąpił do jakiegoś sklepu i kupił butelkę sowieckiej wody kolońskiej. Po wyjściu ze sklepu otworzył ją i wypił. Ogromnie byłem tym zdziwiony. Takich obyczajów nie znałem. Lekcji gry na gitarze przeprowadziłem kilkanaście, jednak po pewnym czasie skończyły się. Moi „uczniowie” widocznie byli rozczarowani sądząc, że w bardzo krótkim czasie zaczną grać. Nudziły ich prawdopodobnie moje wykłady o nutach, akordach, tonacjach itp. Tak skończyła się nauka gry, a zawsze po takich zajęciach mój lejtnant tradycyjnie wstępował do sklepu, by napełnić swój organizm „pachnącymi” (okropnie) „duchami” (perfumami).

W teatrze życie biegło normalnym torem. Koncerty, spektakle, próby nad nowym repertuarem. Ciągłe mozolnie ćwiczyłem nad swoją techniką skrzypcową. Nocami przepisywałem nuty dla orkiestry, przekazywane przez dyrygenta. W wolnych chwilach spotykaliśmy się w gronie Polaków wspominając przeszłość szczęśliwą, w chwilach obecnej tęsknoty. Odtwarzaliśmy fragmenty zapamiętanej naszej ojczystej poezji. Okazało się, że trzech z nas pisuje wiersze. Kilka z nich przytoczę.

Śnieg. Tundra. Góry.  
Wiatr wieje...  
Kraj nędzny, smutny, ponury –  
Gnije...  
Martwe dokoła cienie –  
Symfonia śmierci dźwięczy.  
Lęk – i cierpienie  
Wiatr jęczy.  
Zrywa się myśl i leci –  
Ptasze tułacze  
Z burz, huraganów, zamieci  
Wiatr płacze...  
I tylko modlitwa cicha  
Ból tłumi  
I żali się, wzdycha...  
Wiatr – szumi...

Jerzy Sidorowicz    Abieź – maj 1948 r.

Jurek najwcześniej z pośród nas wrócił do kraju. Po powrocie był u moich rodziców w Krakowie opowiadając o naszym obozowym życiu. Był zatrudniony w operetce w Łodzi jako solista znanej orkiestry mandolinistów pod batutą Mariana Ciukszy. Po powrocie do kraju odwiedziłem go kiedyś w Łodzi i uczestniczyłem w spektaklu operetkowym, w którym on występował. Potem wielokrotnie

słuchałem go w radiu i zawsze powracały mi wówczas wspólne niełatwe obozowe przeżycia. Jurek był zawsze niepoprawnym optymistą i w najtrudniejszych chwilach obozowego bytowania zachowywał spokój. Miał też coś w sobie z romantyka. Zawsze snuł optymistyczne plany na przyszłość. Zatem do dzisiaj nie wiem dlaczego odebrał sobie życie.

Drugim naszym poetą był Julek Baczyński – Abieź 1948 r.

#### Sen

Raz szczęście mi się przyśniło  
 Dawne szczęście moje –  
 Po świecie błądziło  
 Nie swoje...  
 Szukało mieszkania, serce –  
 W tęsknocie i udręce,  
 W długiej poniewierce –  
 W męce...  
 I w końcu umarło szczęście  
 Samotne, zabłąkane  
 Na wieczne wyklęcie  
 Wygnanie.

Julek po powrocie do kraju zamieszkał w Gdańsku, gdzie ukończył studia na Politechnice. Kontakt z nim urwał się.

Wszystkie te wiersze pisaliśmy w Abieź. To cud, że kilka z nich zachowałem. Ośmielę się jeszcze przytoczyć swój wiersz z tamtych czasów:

Kniaź Pogost 23.VI.1948.  
 Wandzie Kossakowskiej  
 [Fragment]

Czerwcowy jasny dzień  
 Pełen kwiecistych woni –  
 Snuje się wspomnień cień,  
 W przeszłości tonie.  
 W girlandy myśl się splata  
 Coś w sercu drży, coś łka  
 I ku ojczyźnie wzlata  
 Tęsknota ma.

Utwory te proste w treści, formie, w pewnym sensie prymitywne, rymowane, pisaliśmy z potrzeby ducha, by nie zapominać o ojczyźnie, utrwałać myśl i język. Na pewno wynika z nich nostalgia. Mieliśmy za sobą tylko szkołę średnią, wzorując się na dawnej poezji nie znaliśmy aktualnych trendów w nowożytnej literaturze, poezji. Ale tworzyliśmy tak jak umieliśmy.

W lipcu i sierpniu wędrowaliśmy wagonami po Komi ASSR bywając w różnych obozach. Byliśmy między innymi w takich miejscowościach jak Kotłas, Kniaź Pogost, Krasawino, Krasnyj Sewer. Wszędzie spotykaliśmy się z Polakami. Mój Kujawiak H. Wieniawskiego był pewnego rodzaju sygnałem dla rodaków, którzy podchodzili ze wzruszeniem, czasem ze łzami. Nie miałem pojęcia, że tyłu ich jest w łagrach. Tymczasem w chórze pojawiła się nowa twarz, Ukrainka ze Wschodniej Ukrainy. Bardzo lubił ją nasz dyrygent, podobno była z jego dawnych okolic. Nazywała się Helena Bławacka i twierdziła, że jej ojciec był Polakiem. Często rozmawialiśmy ze sobą, opowiadałem o Polsce, jaki

u nas dobrobyt, religijność. Słuchała z niedowierzaniem i marzeniem. Nie znała jednak naszego języka. Tymczasem kolejna zima. Przygotowujemy repertuar na dłuższy wyjazd, co najmniej na miesiąc. Mamy jechać z teatralnymi dekoracjami, orkiestra, chór, balet. Zaraz po Nowym Roku, jak zawsze z uroczystym, rozrywkowym programem. Wigilię spędzam w gronie rodaków, otrzymując wcześniej kolejną paczkę ze Lwowa, listy z domu i od rodziny.

W styczniu cały duży zespół teatralny wyjechał na daleką Północ do miasta Salechard. Był to cały pociąg z artystami, kostiumami, dekoracjami i rekwizytami. Zima bardzo mroźna. Na Święto Trzech Króli Zosia Klimaszewska zaprosiła mnie do wagonu na świąteczną kolację. Staliśmy na jakiejś dużej stacji kolejowej. Od mrozu dym ostrymi piuropuszami unosił się w górę. Noc polarna. Zosia stwierdziła, że konieczna jest woda do ugotowania „wermiszu” (makaronu). Wiedziałem, że w pewnej odległości od pociągu jest przerębla, do której nasi artyści i konwojenci chodzili po wodę. Powiedziano mi w którym to jest kierunku. Wziąłem wiadro i wybrałem się po wodę. Nagle zerwała się burza śnieżna „purga”, silny wiatr, zacząłem tracić orientację, w której stronie jest przerębla. Bałem się by nie wejść do niej, bo wtedy zginę. Usłyszałem jednak przeciągły gwizd lokomotywy i to dało mi orientację, w której stronie jest stacja kolejowa. Ostrożnie wracałem, by po chwili zobaczyć we mgle oświetlony budynek dworca i jego okolicy. Dotarłem do wagonu Zosi dziękując Bogu za uratowanie. Potem aby mieć wodę, musiałem kilkakrotnie wychodzić po śnieg, którego trzeba było dużo nabierać, aby zgromadzić jej potrzebną ilość na mycie i do bieżących potrzeb.

Tymczasem pociąg nasz dojechał do stacji Łabytnanga, gdzie kończyły się tory kolejowe. Dalej mieliśmy iść piechotą przez rzekę Ob do miasta Salechard, będącego celem naszej podróży. Dekoracje, rekwizyty, instrumenty załadowano na duże amerykańskie samochody ciężarowe „studebackery”, które jechały przez rzekę po przetartym lodzie. Salechard to miasto zesłańców, w którym istniał duży kombinat przetwórstwa ryb. Statki z Morza Północnego przywoziły połów przerabiany w kombinacie, leżącym u początku delty rzeki Ob, mającej w miejscu gdzie wylądowano nas z pociągu kilkanaście kilometrów szerokości. Zimą dla odbioru przerobionych konserw na zamrożonej rzece kładziono podkłady kolejowe z szynami i po nich pociąg towarowy wywoził towar z miasta. Latem komunikacja z miastem odbywała się przez samoloty.

Byliśmy bardzo zmęczeni przejściem przez rzekę. W barakach, w których nas ulokowano było ciepło. Otrzymaliśmy o dziwo kwotę pieniędzy do własnej dyspozycji i informację, że możemy się swobodnie poruszać na terenie miasta. Wiadomo – nie było żadnej możliwości ucieczki. Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że władze miasta zezwoliły na kąpanie się w miejskiej łaźni. Zawsze miałem kłopot w łaźni z okularami na skutek pary, która osiadała na okularach. Znalazłem miejsce na jakimś okienku gdzie położyłem okulary i zacząłem się myć. W pewnym momencie zauważyłem koło siebie jakieś dziwne kształty. Okazało się, że była to kobieta. Poczulem się nieswojo i przesunąłem się w odleglejsze miejsce. Okazało się, że dzień, w którym kąpaliśmy się, był dniem kąpieli rodzin, które przyzwyczajone do miejscowych zwyczajów, razem załatwiały swoją toaletę.

Rozpoczęły się próby naszego zespołu. Wystawialiśmy operetki, graliśmy koncerty. Byliśmy ogromną nowością dla mieszkańców miasta. Sala wido-

wiskowa zawsze była przepelniona. W wolnych chwilach chodziłem po mieście, odczuwając pewną swobodę, coś na miarę wolności. Kupiłem sobie mydło, pasek do spodni, okulary w rogowej oprawie (te które miałem były w metalowej). Jednocześnie dowiedziałem się, że w Salechardzie mieszka Polka ze Lwowa. Odnalazłem ulicę i dom, w którym mieszkała. Zapukałem. Otworzyła średniego wzrostu kobieta pytając po rosyjsku czego żądam. Powiedziałem po polsku, że jestem ze Lwowa i że chcę porozmawiać z rodaczką. Tak nawiązałem znajomość z Janką Mierzyńską. Była córką znanego lwowskiego fabrykanta materiałów biurowych, kredek, ołówków itd. W pokoju okazało się, że w korytarzu jest dziecko. Ugościła mnie herbatą, czymś słodkim, zaczęliśmy rozmawiać o Lwowie, z którego została zesłana aż tu za koło podbiegunowe. Związała się z Rosjaninem, inżynierem, będącym obecnie na delegacji. W czasie pobytu odwiedziłem ją kilkakrotnie.

Po powrocie do kraju, po kilkunastu latach spotkałem w Warszawie już dorosłą jej córkę, absolwentkę Akademii Sztuk Pięknych, która jednak nie chciała ze mną rozmawiać o matce i jej mężu. Pod koniec lutego wracaliśmy do Abieży. W czasie powrotu Klara miała przygodę. Umyła wieczorem włosy i rano nie mogła oderwać głowy od ściany wagonu. Taka jest Północ. W Salechardzie przeżyłem też dziwne zjawisko. W dniu, w którym było 50°C mrozu, na widnokręgu zobaczyłem dwa słońca, a po pewnym czasie tęczę. Pierwsza tęcza od tyłu lat. I znowu wzruszenie i myśl o najbliższych.

Rok 1948 to rok różnych nieoczekiwanych zdarzeń. W styczniu otrzymałem list z fotografią Krystyny Młodejowskiej. Piszę do niej prośbę o odszukanie żony będącego w naszym obozie Stefana Nowickiego. Podobno mieszka we Wrocławiu. W styczniu kupuję skrzypce od Renaty Picho, która w najbliższym czasie ma wyjść na wolność i wrócić do Estonii. A więc będę miał na nieznaną przyszłość własny instrument, jeżeli nie daj Boże mi go nie odbiorą. W warunkach więziennych wszystko jest możliwe. W marcu wezwano dwóch Polaków rzekomo na wyjazd do kraju. Coś się dzieje? Czy można mieć nadzieję na wolność? W teatrze zmiany, ograniczenie etatów. Zima sroga. Domy zasypane po dachy śniegiem. Mrozy do 40°C. Nadchodzi Wielkanoc. Jeden z Ukraińców otrzymuje farby akwarelowe. Maluję kartki świąteczne z symbolami Północy. Otrzymuję za to główki czosnku i cebuli. Jedna z kartek dochodzi do domu! Przez dłuższy czas brak wiadomości z kraju. Jestem zaniepokojony. Ubywa muzyków z orkiestry.

W sierpniu mała grupa koncertowa wyjechała na krótkie tournée. W jednym z obozów w Incie spotkałem Polkę, siostrę zakonną Bernadette. Dostałem od niej obrazek Matki Boskiej i kostkę mydła. Siostra poinformowała mnie, że w sąsiednim obozie jest polski ksiądz kapucyn. Rzeczywiście tak się zdarzyło, że na drugi dzień mieliśmy koncert w tym łagrze, gdzie był ów ksiądz. Odnalazłem go i przy spotkaniu w czasie rozmowy chodząc po placu wypowiedziałem się. Była to jedyna spowiedź za tak długi czas i ostatnia, przed powrotem do kraju. Był to ksiądz Albin Janocha, kapucyn, z którym spotkałem się po wielu latach w Krakowie, w czasie organizowania Związku Sybiraków. Przyjaźniłem się z nim aż do jego zgonu. Jego tułaczce wspomnienia pt. *Pod opieką Matki Bożej*, ukazały się w roku 1993 we Wrocławiu w oficynie wydawniczej „Biblioteka Zesłańca”, istniejącej przy Polskim Towarzystwie Ludoznawczym, które pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku podjęło śmiały pomysł konkursu na wspomnienia Polaków z Syberii, Kazachstanu i innych rejonów ZSRR. Na podstawie zgromadzonych wówczas materiałów utworzono serię wydawniczą niezwykle za-

służoną w dokumentowaniu polskich zesłań i deportacji do ZSRR w latach drugiej wojny światowej oraz pierwszych lat po jej zakończeniu, wyróżnionej za ten edytorski trud nagrodą Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

We wrześniu wyjechał do Polski mój przyjaciel Józek Godzisz. W grudniu wyjechała do Polski Dorota Smetaniuk Jabłońska. Zaczyna świtać nadzieja szybkiego wyzwolenia i powrotu do kraju. Niestety życie potoczyło się zupełnie innym torem. Tak na tym oczekiwaniu minął dla mnie 1948 i 1949 rok. Były to dla mnie trudne lata pozostawania w niewoli której towarzyszyły dręczące myśli: dlaczego mnie nie zwalniam? Zosia Klimaszewska od czasu do czasu wspomagała mnie jakimś makaronem. W grudniu (1949) otrzymałem już trzecią paczkę ze Lwowa: cukier, tuszonka, smalec, makaron, suszone śliwki, papier, koperty, pióra do pisania, książkę Wincentego Pola. Bardzo cenna przesyłka.

Rok 1950. Wciąż zmniejsza się ilość artystów w teatrze. Podobno ma być rozwiązany. Część muzyków i artystów ma być przeniesiona do miejscowości Igarka nad Jenisejem. Nie mam pojęcia gdzie to jest? Podobno jeszcze głębiej w Azji. Następuje pakowanie nut, części dekoracji, rekwizytów. Jest kwiecień, maj. W czerwcu, korzystając z żeglugi po rzece, mamy płynąć do Igarki. I tak kolejny transport. Na szczęście wiozą nas oddzielnym wagonem tzw. „stołypińskim”, gdzie do poszczególnych przedziałów nie ma drzwi, tylko przez cały wagon jest siatka, aby straż pilnująca nas miała wszystkich na oku. Wiozą nas przez Kotłas, Kirow, Perm, Omsk, Nowosybirsk do Krasnojarska.

Podróż pociągiem trwała dwa tygodnie. Siedząc bez ruchu traciliśmy siły, będąc na tzw. „suchym pajku”. Dobrze, że mieliśmy jeszcze trochę produktów z paczek. Dowieziono nas do Krasnojarska do portu na rzece Jenisej. Załadunek „niewolników” trwał długo, bo wprowadzano na statek wielu więźniów. Stąd bowiem odprawiano ciągle nowe transporty więźniów do łagrów w Norylsku, w których więziono także wielu Polaków. Można nad tym ubolewać, można uznać to za zbrodnię, fakt pozostaje jednak faktem i powinniśmy więcej o tym pisać kreśląc losy polskich zesłańców na Syberii. I to nie dlatego by utrwalać martyrologiczny obraz tej krainy i nas tam cierpiących. To dla prawdy historycznej, by ci urodzeniu już w wolnej Ojczyźnie wiedzieli jaki był Sybir!

Umieszczono nas na dnie statku w fatalnych warunkach. Byliśmy wprawdzie odgradzeni od grupy przestępców, złodziei i morderców, ale jedynie siatką, przez którą padały różne ordynarne, obraźliwe słowa. Instrumenty muzyczne mieliśmy ze sobą. Pod pokładem powietrze okropne. Zaduch, smród, kłopoty z czynnościami fizjologicznymi. Co parę dni wyprowadzano nas małymi grupkami na pokład. Płynęliśmy ponad dwa tygodnie. Wreszcie port Igarka. Pod konwojem wyprowadzono nas do kolejnego łagru. Barak schludny, nowy, widać kierownictwo łagru chce dbać o artystów. Niestety to są szczątki nas artystów z teatru w Abieź. Orkiestra liczy zaledwie 10 muzyków. Nie ma już wybitnego skrzypka, ani Renaty Picho, która wyszła na wolność, ani mego przyjaciela Węgra – Loci Sente. Na szczęście jest z kostiumami Zosia Klimaszewska.

Za naszym barakiem „buduje się” latryna. To ogromna praca, w której pomagamy. Trzeba wykopać głęboki dół, na jakieś 2 m głębokości. Ziemia zamrzła na lód, twarda jak kamień. Wietrzna zmarzlina. Kopie się kilofami, rozpała ognisko, żeby lód trochę tajał. Na szczęście na skutek interwencji naszego dyrygenta N.N. Czerniatyńskiego dowództwo obozu zwalnia nas z pracy fizycznej, która negatywnie odbija się nie tylko na zdrowiu, lecz przede wszystkim na

rękach, uniemożliwiając grę na instrumentach. Otrzymujemy dodatkowe wyżewienie.

Po raz pierwszy od przybycia do tej miejscowości pod konwojem wyprowadzają nas do teatru. Odległość od łagru około dwu kilometrów. Budynek duży, wprawdzie nie taki jak w Abież, jednak musimy się jakoś rozlokować. Rozpakowujemy bibliotekę, pulpity, rekwizyty, kostiumy. – Igarka to duże miasto. Idąc do teatru wciąż mijamy bardzo długie ogrodzenie składów drewna. Jest to port, w którym Rosja sprzedaje zagranicznym odbiorcom różnego rodzaju wyroby z drewna potrzebne m.in. dla statków. Ze zdumieniem obserwujemy w oddali obce bandery, m.in. fińskie, szwedzkie i inne. Tak niedaleko wolność. Jenisej w Igarce ma podobno głębokość 80 metrów, tu wpływają do portu statki morskie. To jeszcze jedno okno na świat z ZSRR, ale czy ci przybywający tu zagraniczni marynarze mają pojecie o tragicznych losach łągierników, którzy budowali ten port

W teatrze próby. Zostaję pierwszym skrzypkiem. Bardzo dużo ćwiczę, gdyż mam trudne partie. Skromny chór i balet. Ma się odbyć pierwszy koncert na którym mam wystąpić solo we fraku, przy akompaniamencie fortepianu. O ironio losu, łągierni i frak! Zosia twierdzi, że wyglądam bardzo elegancko. W dalszym ciągu przepisuję nuty, gdyż zmiana zestawu orkiestry powoduje inny rozkład harmonizacji. We wrześniu jestem nagle wezwany do komendy łagru przez jakiegoś śledczego. Znowu stres. Co mnie czeka? Dowiaduję się tam, że przysłały jakieś moje dokumenty z Moskwy.

Śledczy informuje, że ojciec mój poprzez Ministerstwo Spraw Zagranicznych stara się o moją repatriację. Jednak polityczny wyrok ciążyący na mnie nie pozwala póki co na zwolnienie i odesłanie do kraju. O tym powiadomił mnie śledczy. Moja sprawa będzie jeszcze rozpatrywana. Ciągłe łądę się nadzieją, że nastąpi to niebawem i podobnie jak niektórzy z kolegów udam się w powrotną drogę do kraju. W tym oczekiwaniu spotykam się nierzadko z objawami rozgorzałej nienawiści do systemu, który spowodował moją niewolę. Uczucie to musiało być jednak tłumione bo jakiegokolwiek ukazanie go znaczyło nic innego jak dalszy pobyt w niewoli. Radość ze szczęścia rodaków opuszczających łągierni była jednak stałym źródłem nadziei dla mnie.

Wrzesień. Wyjeżdżamy z występami do Norylska. Ogromne miasto, piętrowe budynki, duże oświetlenie elektryczne, linie autobusowe, ruch na ulicach. Jednocześnie duże „zagłębienie” łągrów. Podobno dalej na północ są złoża rud promieniotwórczych metali gdzie przy wydobywaniu ginie wielu więźniów. W Norylsku piękny budynek teatru. Wożą nas autobusem, z konwojem. Okazuje się, że w mieście są nawet tramwaje. Zespół nasz ulokowano na peryferiach miasta w jakimś enkawudowskim ośrodku, w dobrych warunkach. Można nawet wychodzić bez straży do ogrodu. W wolnych chwilach przebywam tam, ciesząc się chwilą jak gdyby wolności. Zamarznięte drzewa, raczej krzewy, gdyż na tej szerokości geograficznej jest tundra. Na obiady wyprowadzają nas do jakiegoś łągru.

Okazuje się, że z tego obozu uciekło stosunkowo nie tak dawno kilku więźniów. Po pewnym czasie złapano ich. Według opowiadań uciekający zaczęli ginąć z głodu i w tej sytuacji „ciągnęli losy”, którego z nich zabić, aby mieć pożywienie. Kanibalizm. Straszna rzecz. Koło wartowni w obozie dla postrachu więźniów wystawiono zamarznięte trupy ze śladami psich zębów na poślankach. Wstrząsający widok. To są metody NKWD. Byliśmy wszyscy ogrom-

nie przybici. Tak minął 1950 rok. Wigilię obchodziliśmy tylko z Zosią Klimaszewską. Byliśmy w teatrze jedynymi Polakami.

\*

### **Irena Przywecka (z d. Kubisiak) – *Na zesłaniu***

Rodzice moi pochodzili z Poznania i byli nauczycielami. Mama urodzona 1 maja 1899 roku, tato 18 sierpnia 1894 roku. W 1930 roku wyjechali z Poznania do Mosiny w poszukiwaniu pracy bowiem tylko mama miała zatrudnienie w Poznaniu, tato natomiast nie. Był inwalidą wojennym z I wojny światowej, miał przestreloną prawą rękę, którą zamierzano pierwotnie amputować ale zrobiono wszystko by ją uratować. Prawdopodobnie dostał odszkodowanie, kupił kawałek ziemi w Żabinku, gdzie rozpoczął budowę domu.

W roku 1936 roku na Kresy Wschodnie aż do Prużany wyjechała kuzynka taty Helena z mężem Kazimierzem Ilińskim, inż. budowniczym dróg i mostów, w stopniu kapitana, który został starostą tego kresowego miasteczka. W 1939 roku aresztowali go sowieci i zaginął bez wieści. Namówili oni moich rodziców, żeby skorzystali z kontraktu pięcioletniego i przyjechali na Kresy uczyć w tamtejszych szkołach. Po pięciu latach mogli wrócić do Poznania, z gwarancją pracy i mieszkania. W 1938 roku rodzice sprzedali to, co było możliwe i wyjechali. Po rocznym nauczaniu w Prużanie przenieśliśmy się do Berezy Kartuskiej gdzie otrzymali większe mieszkanie oraz korzystniejsze warunki pracy i płacy. Mama była nauczycielką języka polskiego i niemieckiego, tato pracował w kancelarii szkolnej oraz uczył także języka niemieckiego.

\*

Nasza Mama (1899-1964).  
Zdjęcie wykonane w Nowosybirsku  
w 1949 r.

W nocy 22 lub 23 czerwca 1941 roku wtargnęło do naszego mieszkania dwóch enkawudzistów, przeprowadzili rewizję, kazali się spakować i wynosić z domu. Pamiętam jak jeden szeptem powiedział do mamy: „brać ciepłą odzież i

duzo jedzenia”. Przed domem stał drabiniasty wóz i jeszcze dwóch enkawudzi-  
stów. Tatę oddzielili od rodziny i osadzili w więzieniu w Berezie. Mamę z sió-  
demką dzieci powieźli na dworzec, gdzie stały bydłące wagony, w których byli  
już ludzie wcześniej przywiezieni. Wsadzili nas wszystkich do wagonu i za-  
mknęli drzwi. Opiszę tę „małą” gromadkę dzieci: Aurelia –mówiliśmy Aura, ur.  
1920 r.; Apoloniusz – mówiliśmy Polu – ur.1924 r.; Wirgiliusz – mówiliśmy  
Tyło, ur. 1926 r.; Wenancja – mówiliśmy Wenia, ur. 1929 r.; Ja, Irena – ur.  
1933 r.; Teresa – ur. 1935 r.; Klara – ur.1937 r.

Na peronie staliśmy chyba dwa dni. Wieść o wywózkach rozniosła się  
echem błyskawicy po Berezie. Siostra Aura w sierpniu miała zaplanowany ślub,  
jej narzeczony Włodek Zalewski, biegał po peronie i wywoływał nasze nazwi-  
sko. Mama widząc to przez zakratowane okno spakowała trochę ciepłych rze-  
czy dla taty, ludzie pomogli otworzyć drzwi i podała Włódkowi. Zauważył to  
konwojent i nie bacząc na to, że mama wyglądała przez drzwi wagonu zatrza-  
snął je uderzając ją nimi w głowę. Zrobił się straszny krzyk. Mama tracąc przy-  
tomność osunęła się na podłogę wagonu. Z peronu wyglądało to tak, że Kubi-  
siakową zabito. Po pewnym czasie odzyskała ona przytomność i wróciła do  
zdrowia, chociaż przez całą drogę na zesłanie nie czuła się najlepiej.

Wreszcie po skompletowaniu eszelonu pociąg ruszył w nieznaną. Atmos-  
fera w wagonie pełna była niepokoju, ludzie modlili się i śpiewali nabożne pie-  
śni. Pisząc to po latach zdaję sobie sprawę z faktu, że moje widzenie tej sytuacji  
deportacyjnej jest kalekie i mało dokładne. Tak czy owak w tym zamkniętym  
pudle bydłącego wagonu dojechaliśmy do Nowosybirsk skąd statkiem popły-  
nęliśmy do Toguru. Tam wysadzono nas na placu. Potem wozem dowieźli do  
Tajgi – „Sieło wtoraje”. Pamiętam barak, w którym kazali nam się „rozgościć”.  
Był okropny, dziurawy i przepełniony ludźmi. Całe szczęście, że było lato, bo  
zimy byśmy nie przeżyli. Osoby starsze bardzo chorowały, dzieci też, a stan  
moich sióstr Weni i Teresy był również bardzo ciężki, ale na szczęście przeży-  
ły.

Przygarnęło nas do swojego domu bezdzietne rosyjskie małżeństwo.  
Mieli jeden pokój w którym był duży piec. Gospodarze spali na piecu, my na  
podłodze. Dom był ciepły. Zrobiony z belek, między belkami był mech i nieste-  
ty pełno robactwa. Dorośli musieli iść do pracy, do wyrębu lasu i karczowania  
olbrzymich korzeni. Mama, Aura i Polu pracowali w lesie, Tyło przy koniach.  
Jak skończyła się żywność podkradał koniom sieczkę. Mama zalewała to mle-  
kiem i tak jedliśmy (mleko mama wymieniała za rzeczy). Rosjanie też nam po-  
magali to byli bardzo dobrzy ludzie. Zima była okropna, nikt nie był przygoto-  
wany na takie mrozy. Ludzie źle ubrani zamarzali przy pracy. My wszystkie  
chorowałyśmy na zapalenie płuc, Wenia już nigdy nie wróciła do zdrowia.

1941 rok. Po rozmowach Sikorski – Majski mogliśmy wyjechać do innej  
miejscowości. Mama zdawała sobie sprawę, że w tej leśnej osadzie następnej  
zimy nie przeżyjemy. Za futro, które zabrała z domu wynajęła sanie i jeszcze  
zamarzniętą rzeką Kiet przyjechaliśmy wiosną do Kołpaszewa. Tam było więk-  
sze skupisko Polaków i dochodziła amerykańska pomoc (UNRA). Mama praco-  
wała w szwalni, szyła kufajki i watowane spodnie, Aura pracowała w ogrodnic-  
twie, Polu w przetwórstwie rybnym.

1942 rok. W Tomsku powstał Polski Dom Dziecka. Mama wysyła Tyla i  
Wenię z nadzieją, że uratują jej zdrowie (chodziło o płuca), nas zatrzymała przy

sobie. Głód doskwierał wszystkim. Nie zapomnę rosołu, który był ugotowany na biednym wróbelku, upolowanym procą przez Pola. Jak ta biedna mama szukała tych skrawków „mięsa”, żeby każdy miał chociaż kawałek na talerzu. Pamiętam upośledzoną dziewczynkę, Rosjankę, może 12-letnią. Miała na sobie worek wycięty na głowę i ręce, leżała w sieni na ziemi pod ławką, cała się trzęsła, wychodziła na podwórze, zjadała kurze odchody i wszystko, co znalazła. Potem gospodyni popychała ją nogami pod ławkę jak psa. To widziałam, bo chodziłam do nich po mleko. Jeszcze jedna scena zapadła mi w pamięci na całe życie. Chłopiec, może miał 15 lat, może 17. Nie wiem czy był Polakiem czy Rosjaninem. Szukał już po wykopkach, z pewnością z głodu, ziemniaków, które być może pozostały w ziemi. Podszedł do niego enkawudzista i zastrzelił go na moich oczach! Państwowego nie wolno było ruszać.

Personel wychowawczo-opiekuńczy Domu Dziecka w Tomsku (1943). Chlebik (dozorca), Szatochinowa, Lutostańska (wychowawca), Smolińska (wychowawca), Michalska, Szmidt (nauczycielka), Nowikowa, dr Piotrowicz (lekarz), Paulina Mironowa (nauczycielka?), Grzywaczowa (nauczycielka), Skibowska, Klaudia Konstantinowna (vice dyrektor), Tomaszewski, Anna Kościuk (dyrektorka), Piotrowicz (pielęgniarka), Wołosańska (nauczycielka), Nikiciuk (nauczycielka), Zofia Grygalis (nauczycielka prac ręcznych), Szajdowa, Godlewska (wychowawca).

Jest jeszcze rok 1942. Zostaje aresztowana nasza mama. Zrobili rewizję, znaleźli słownik polsko-niemiecki, książkę kucharską – niemiecką, braciom ukradli klasery ze znaczkami, które zbierali od 1934 roku. Mamę uznano za kontrewolucjonistkę i wroga Związku Radzieckiego, za co skazana została na 5 lat więzienia. Siostra i brat nadal pracowali. Ja opiekowałam się młodszymi siostrami. Raz w miesiącu nosiłam paczkę z jedzeniem dla mamy do więzienia. Wspólnota rodzinna i pokrewieństwo postaw życiowych wywodzących się z jakiejś wewnętrznej siły by przetrwać umacniały nas we wzajemnym wspomaganiu się. Nie wolno było załamywać się mimo zesłańczego koszmaru, a to co nas

umacniało to była ciągła nadzieja odjazdu z Syberii ku wolności, czyli do kraju. W tym wszystkim umacniała nas mama, a potem gdy jej zabrakło czyniło to starsze rodzeństwo. Tak więc trwaliśmy w nadziei i modlitwie.

1943 rok. Miałam wypadek, poszłam zimą po wodę do studni. Nie przewidziałam jednak, że oblodzone wiadro przeważą moje siły i kiedy odkręcałam korbę by nabrać wody, łańcuch z całym impetem, ściągnął wiadro w dół a ja korbą dostałam w głowę i rękę. Obudziłam się w szpitalu, gdzie chirurg nast-

Wychowankowie i opiekunowie Domu Dziecka w Afipskiej (1945). Elżbieta Szajdowa, Smolińska, (wychowawca), Zina Fiodorowna, Krysia Biessiekierska, Lusja Żurawska, Marysia Szydłowska, Teresa Kubisiak, Marysia Niemcówna, Julia Zaugolna, Rusieńka Urbańska, Tomaszewski, Janina Lutostańska (wychowawca), Sabinka Kowalczyk, Marysia Puszkowna, Maria Piotrowicz, (pielęgniarka), Wołosańska, (nauczycielka), dr Piotrowicz, Grzywacz (nauczycielka), Tarnowska, Cylwich, Blanka Cylwich, Jerzy Grzywacz, Halina Juchnowicz, Urszula Lutostańska, Alicja Tomaszewska, Janina Juchnowicz, Dzikka Wołosańska, Marysia Szajdówna, Eugeniusz Szajda, Tadeusz Szmidt, Nowik, Cezary Juchnowicz. Pozostałe osoby niezidentyfikowane.

Dociera do nas wiadomość, że powstaje Wojsko Polskie czyli Dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Jedno z rodzeństwa musi iść na wojnę. Pojechał Polu. Siostra pod koniec września 1943 roku wysłała nas do Tomska do Domu Dziecka. Mieścił się on przy ul. Róży Luksemburg. Brat Tyło wrócił do Kołpaczewa do siostry. Domem tym kierowała Anna Iwanowna Kościuk, a zastępcą była jej siostra Klaudia Iwanowna, obie bardzo surowe ale sprawiedliwe. Było w nim

sporo dzieci o podobnych do naszych losach, niektóre zupełnie osierocone, inne na pół, inne jeszcze oddane zostały przez rodziców do tego przytułku by jakoś przeżyć, bo w miejscu osiedlenia często groziła im śmierć z głodu i wyczerpania. Nasz budynek był trzykrotnie oblany benzyną i podpalony i tyleż razy uratowany przez p. Chlebika, który był naszym stróżem. W Domu Dziecka uczyliśmy się po rosyjsku i po polsku. Głód był okropny. Śniadanie – 10 dkg chleba i

Wychowankowie i opiekunowie Domu Dziecka w Afipskiej (1945). Krysia Biessiekierska, Lusja Żurawska, Dwidka Wołosiańska, Irena Wołosiańska, Maria Kowalczyk (wychowawca), Blanka Cylwich, Maria Szajdówna, Lusja Kurkówna, Jurek Żurawski, Jaddwiga Grzywacz (nauczycielka), Wołosiańska (nauczycielka), Anna Iwanowna (dyrektorka), Smolińska (wychowawca), Elżbieta Szajdowa (zaopatrzeniowiec), Irena Kubiśiak, Gienio Szajda, Tadiusz Szmidt, Dziunia Szajdówna, Jurek Szmidt. Pozostałe osoby nierozpoznane.

Pracować też musieliśmy. Kto umiał robić na drutach – robił szaliki, rękawiczki, skarpetki i nauszники dla żołnierzy na front. Pozostali dostawali po dużym worku runa owczego i musieli skubać osobno wełnę, osobno odchody, tego drugiego było dużo więcej. Jak wyglądały nasze ręce można sobie wyobrazić, ponieważ nie było mydła! Myśliśmy je piaskiem zmieszany z wodą. Kiedyś poprosiłam koleżankę Julkę Zanutolną by nauczyła mnie robić na drutach. Szybko opanowałam tę czynność. Zgłosiłam się więc do naszej wychowawczynie Zosi Grygalis by dała mi także możliwość robienia szalików. Byłam zadowolona z tej pracy.

I jeszcze na moment pozostanę w kręgu spraw związanych z pobytem w tym domu dla dzieci zesłańców. Życie w nim regulował określony regulamin, wyznaczający pory dnia na naukę, jedzenie w stołówce, czas wolny i zajęcia

porządkowe. Personel administracyjny i wychowawczy był mieszany z przewagą rosyjskiego. Wśród dzieci zrównanych w nieszczęściu syberyjskim zesłaniem panowała atmosfera przyjaźni, przepojona, rzecz dzisiaj można, jakimś dziecięcym a jakże humanistycznym pojmowaniem wspólnego losu, poddanego niezawinionym okolicznościom. Bez wątpienia trudno oprzeć się wrażeniu, że to dzięki tej placówce opiekuńczo-wychowawczej w Tomsku część dzieci przetrwała zesłanie i powróciła do kraju.

Nie mogę też nie wspomnieć tutaj o tym jak bardzo nasi wychowawcy troszczyli się o to byśmy byli zdrowi i pogodni. Rozmawialiśmy w nim po polsku, chociaż mieliśmy też lekcje z języka rosyjskiego, uczyliśmy się też historii Polski, modlić się nie wolno było natomiast święta Bożego Narodzenia i Wielkanocne, obchodzone były bardzo skromnie. Nie doznaliśmy też ponizania z tego powodu, że byliśmy Polakami, dziećmi zesłańców. Ze szczególnym wzruszeniem wspominam dzisiaj po latach naszego lekarza dr Piotrowicza człowieka, o którym wspomnienia nawet dzisiaj przynoszą ulgę w nostalgii umacniania

Dom Dziecka w Afipskiej (1945). Osoby rozpoznane: Janina Lutostańska (wychowawca), Anna Iwanowna (dyrektorka) oraz Dziunia Szajdówna, Stasia Szobczak, Maria Szajdówna, Lusja Kurkówna, Teresa Kubisiak, Adela (?), Stasiu Kowalczuk, Urszula Lutostańska.

W 1944 rok wiosną wyjeżdżamy na Kaukaz do miejscowości Afipskaja koło Krasnodaru. Tam w klimacie o wiele cieplejszym wkrótce po przyjeździe pojawiły się owoce na drzewach, ale jeszcze zielone – głodne dzieciaki zrywały i jadły. Było bardzo dużo zgonów, skręt kiszek. Nawet nasz cudowny dr Piotrowicz nie mógł nikogo uratować. Dyrektorką była Rosjanka Anna Iwanowna,

bardzo dobry człowiek. Nasze opiekunki, przeważnie Polki, były wspaniałe! Siostra Wenia nadal chorowała, a dr Piotrowicz umieścił ją w sanatorium w Krasnodarze. Od mamy nie mieliśmy żadnych wiadomości. Brata korespondencja wojenna się urwała. Jedyne kontakty były z Aurą i Tylem.

1946 rok. Wracamy w marcu do kraju. Pierwszy polski przystanek to Przemyśl. Przysięgam sobie, że nigdy nie opuszczę Polski. Raz przysięgę złamałam. W 1980 roku 20 sierpnia pojechaliśmy z mężem do Budapesztu, a w Polsce rozpoczęły się strajki – dla mnie to był horror. Wszystko szczęśliwie się skończyło i wróciliśmy do kraju. Po tej dygresji powracam do głównego wątku tego powrotu z zesłania. Z Przemyśla pojechaliśmy do Opoła, z Opoła na odwzawianie do Gostynina. Przez całe pięć lat na Syberii i Kaukazie, meszki, komary, karaluchy, pluskwy, wszy, to byli nasi najwierniejsi przyjaciele, nie opuszczali nas ani na chwilę! Dobijały nas czyraki, skrofuły i inne choroby – przetrwaliśmy wszystko! Z Gostynina przewieźli nas do Sikorowa k. Inowrocławia. Do Mątew chodziliśmy do szkoły. Pierwsza Komunia była przygotowa-

Dom Dziecka w Afipskiej (1945). Osoby rozpoznane: Stasiu Kowalczyk, Irena Markiewicz, Adela (?), Krysia Tarnowska, Irina Iwanowna (córka dyrektorki), Maria Piotrowicz (pielęgniarka), Anna Iwanowna (dyrektorka), Klara Kubisiak, dr Piotrowicz, Maria Kowalczyk (wychowawca), Alicja Tomaszewska, Sabinka Kowalczyk, Halina Juchnowicz, Jerzy Smoliński.

Nasz tato znalazł się po nieudanych poszukiwaniach w końcu bardzo schorowany. Osiadł w 1945 roku w Jędrzychowicach (d. Kurniki). Przez radio dowiedział się o powrocie polskich dzieci z Syberii i usłyszał nasze nazwiska. Przyjechał po

nas, nie wierzył, że przeżyjemy! Zabrakło Pola, który zginął 2 marca 1945 roku w walkach o Wał Pomorski – leży na cmentarzu wojskowym w Wałczu. Wenia wróciła ostatnim transportem, dzięki p. Niekludowej, która nie chciała zostawić nawet na wpółżywe dziecko! Po dwóch tygodniach w szpitalu w Przemyślu siostra zmarła mając 17 lat. Tato umarł 18 lipca 1957 roku. Mama wróciła dopiero w 1953 roku., zmarła 20 marca 1964 roku. Tyło zmarł 8 maja 2006 roku.



Gdy w „Zesłańcu” nr 27/2006 przeczytałam artykuł W. Haniewiczza, pt. *Polski Dom Dziecka w Tomsku*, ożyły w mej pamięci tułacze wspomnienia z dzieciństwa. Przez pewien czas przebywałam właśnie w tym ośrodku wychowawczo-opiekuńczym, a to co powyżej napisałam nie jest pełną rekonstrukcją moich losów. To przeważnie urwane ich fragmenty, które ocalały w mej pamięci. Nie mają one nic z ambicji piękności, ot są zapisem tego co zachowało się w zwietrzałej już pamięci dawnej małej dziewczynki, dzisiaj mieszkającej w Poznaniu i należącej do Związku Sybiraków. Wspomniany artykuł w „Zesłańcu” był bezpośrednim powodem tego osobistego wyznania dotyczącego zesłańczych przeżyć sprzed lat wielu. Może zamieszczone w nim zdjęcia dopełnią tego obrazu i zachęcą tych którzy się na nich rozpoznają do podobnego opisu swoich dziecinnych losów.



W dniach 11-13 czerwca 2007 roku odbyła się we Wrocławiu VI Międzynarodowa konferencja pod nazwą „Polacy w nauce i kulturze Tomska oraz Zachodniej Syberii” zorganizowana przez Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego. Wśród jej uczestników była także Pani Irena Przywecka, która przyjechała z Poznania do Wrocławia by spotkać się z W. Haniewiczem, autorem artykułu na łamach „Zesłańca” opisującego Dom Dziecka w Tomsku gdzie w okresie wojny przybywały polskie dzieci, a wśród nich Pani Irena z rodzeństwem. Oboje byli bardzo wzruszeni tym spotkaniem, podczas którego wygrzebano z pamięci wiele nowych faktów. Można bez przesady powiedzieć, że w ten sposób dopisana została dalsza historia tej placówki. Fakty poznane z autopsji wyzwołyły pomysł by na budynku w którym mieścił się Dom Dziecka umieścić pamiątkową tablicę. Wiemy, że na uroczystość tę zaplanowaną na rok 2008 wybiera się parę osób, których zesłańczy los rzucił w czasie drugiej wojny światowej na Syberię i mieszkali w tej placówce opiekuńczo wychowawczej w Tomsku. Redakcja „Zesłańca” będzie promować ten wyjazd i ufundowanie wspomnianej tablicy, podobnie jak przed laty przyczyniła się do wzniesienia w Tomsku obelisku poświęconego „Pamięci Polaków, ofiar stalinowskich represji na Ziemi Tomskiej w latach 1930-1956”. (red.)

